Renata Czarnecka

Królowa
w kolorze karminu

Kraków 2008

Rozdział pierwszy

WESELE

Szarość położyła się ciężko na rozległej przestrzeni. Sprawiała wrażenie pustej, a cisza wdzierająca się w każdy zakamarek drażniła uszy i kaleczyła spokojne, oderwane od ziemi myśli. Jednak było coś, co oko ludzkie mogło wyłonić z tej szarości. Były to zarysowane kontury łoża, z którego spływała ciężka zasłona, odsłaniająca je. Było puste. Za to przy zasłoniętym oknie stała jakaś nieruchoma postać, dogorywająca w promieniu światła, które wdzierało się do środka przez nikły przesmyk niedosłoniętej kotary. Jej piersi unosiły się lekko jak łagodne fale, a usta z każdą minutą pożądały powietrza. I naraz szeptały cicho, aż rozerwał je gwałtowny krzyk targający ciszę na strzępy:

— Gaspar! Gaspar! — krzyknęła i zerwała z głowy kapelusz. Nagle włosy się rozsypały i opadły ciężko na plecy. Kobieta wplotła w nie palce i krzyczała coraz głośniej, ale w jej wołaniu nie było błagania o litość, lecz żądza rozkoszy. Gdy bliska omdlenia już osuwała się ku pawimentowi, spod jej sukni, niczym wąż wypełznął mężczyzna i wziąwszy ją w ramiona, zaniósł na łoże. Kobieta zamknęła oczy, czując na ustach gorące

pocałunki kochanka. Mijały chwile przesiąknięte ciszą. Wreszcie mężczyzna oznajmił:

— Pójdę już.

Kobieta prędko otworzyła oczy i spytała podejrzliwie:

— Dokąd się spieszysz? Idziesz do Eleonory… Czy wiesz, że jej ojciec ma ciężki umysł i jest przedmiotem drwin na królewskim dworze?

— Jej ojca tu nie ma — stwierdził beznamiętnie.

— Gaspar — kobieta poderwała się, nie mogąc pogodzić się ze stratą, którą już widziała oczyma wyobraźni. — Czy ona daje ci większą rozkosz niż ja?

— Znam tylko smak jej ust. Eleonora jest dziewicą.

— Dlaczego więc, panie de Bisceglie, bierzesz sobie tę, której nikt jeszcze nie miał, bo nie chciał jej mieć? — rzekła, nie kryjąc zdumienia jego wyznaniem.

— Może ją kocham — odparł z cynizmem.

— Puste słowa! Jak można kochać coś, czego się nie posiadło?! Co nie należy do ciebie?!

Gwałtowne i natarczywe pukanie do drzwi przerwało sprzeczkę kochanków. Kobieta chwyciła Gaspara za ramię i prędko sprowadziła go po schodach do niewielkiej niszy, po czym sama wróciła do komnaty i otworzyła drzwi. Do pokoju wpadła przygaszona smuga światła, w której stała młoda kobieta.

— Chodź prędko, Barbaro, twoja matka czeka na ciebie — powiedziała kobieta.

— To chyba nic pilnego, Zofio? — spytała Barbara.

— Mogłabym przysiąc, że na zamku dzieje się coś niezwykłego — oświadczyła enigmatycznie Zofia i wyszła, zamykając za sobą ciężkie drzwi. Barbara podeszła do okna i rozsunęła ciężkie zasłony. Potok światła wpadł do środka, ukazując w pełni jej postać. Była bardzo młoda, a jej uroda ciągle rozkwitała. Białe

jak len włosy opadały ciężko na plecy. Światło słońca wpadało w nie, złocąc ich pasma niczym kłosy dojrzewających zbóż. Karminowe usta milczały, mając na sobie ciągle wilgoć gorących pocałunków Gaspara de Bisceglie. W dal spoglądały czarne jak noc oczy. Był w nich jakiś błysk zalotny, jakiś urok, ciekawość świata i pożądanie życia. Barbara nawet nie spostrzegła, jak Gaspar zbliżył się do niej, położył dłonie na jej ramionach i zsunąwszy z nich suknię, całował je. Udało mu się wzniecić w niej pożądanie, jej piersi unosiły się coraz gwałtowniej pod czerwoną suknią.

— Nie, Gaspar… — zaprotestowała tak niepewnie, jakby przeczyła sama sobie. — Jeśli nie wyjdę stąd natychmiast, za chwilę tu będzie matka.

Barbara odwróciła się i całując jego usta, mówiła między pocałunkami:

— Ale przyjdź dziś o północy. Będę sama. Będę czekała.

To powiedziawszy, poprawiła na sobie suknię, zakryła nagie ramiona i wyszła prędko z pokoju. Szła zamkowymi korytarzami, by na końcu jednego z nich zniknąć za wielkimi drzwiami. Ledwo znalazła się w komnacie, a dwoje kilkuletnich dzieci podbiegło do niej z radością, ona zaś wzięła młodsze na ręce i całowała je z czułością. Po chwili dostrzegła tkwiącą przy oknie kobietę ubraną na czarno. To była jej siostra, Anna. Starsza od niej o kilka lat. Zawsze ubierała się w kolorowe suknie, dlaczego dziś było inaczej? Ta czerń budziła w Barbarze złe skojarzenia, jakby świadczyła o śmierci, o żałobie. Barbara postawiła dziewczynkę na podłodze i spytała:

— Anno… Skąd te czarne suknie?

Kobieta już otworzyła usta, by wyrzucić z siebie całą gorycz, gdy nagle wargi jej zastygły w jakimś bezruchu, a słowa utknęły

w gardle. Zacisnęła mocno usta, tylko zdziwione oczy ciągle były szeroko otwarte.

— Anno, powiedz!

Anna spoglądała na nią wielkimi oczyma. Tak bardzo pragnęła skryć przed nią rozdrażnienie, rozgoryczenie i upokorzenie, jakiego właśnie dziś doznała za sprawą młodszej siostry, by pokazać jej daleko idącą obojętność oraz chłód wobec niesprawiedliwego przeznaczenia. Oto w tej chwili miała oznajmić jej arcyważną i arcyszczęśliwą wieść, lecz nie dla niej. Nie dla Anny.

— Nie wiesz jeszcze? Jeszcze nikt nie doniósł ci wspaniałej nowiny?

Barbara usłyszała ironię w jej głosie. Choć sama nie mogła odnaleźć w pamięci niczego, co miałoby zmienić teraz jej życie. Wpatrywała się więc w starszą siostrę rozbieganymi źrenicami. Anna miała jasną cerę i wielkie, brązowe oczy, w których był strach, jakby ciągle czegoś się bała. Siostry nie zdążyły zamienić z sobą ani słowa więcej, bo oto do pokoju weszła kobieta w towarzystwie znacznie od siebie starszego mężczyzny.

— Barbaro — odezwała się kasztelanowa wileńska, która mimo dojrzałego wieku zachowała piękne rysy twarzy. Wiek obchodził się z nią łaskawie, nie odebrał urody i nie rozpasał niemłodego już ciała. Kasztelanowa stanęła przy młodszej córce, której przekazała całą swą urodę. — Nawet twoja siostra pogodziła się z tym, że ciebie pierwszą wydamy za mąż.

Anna poczuła teraz na sobie pełne euforii spojrzenie matki, jakby Radziwiłłowa czekała aż ona potwierdzi jej słowa. Anna jednak uparcie milczała, mocno zacisnęła wargi i patrzyła na matkę sarnimi oczami, ale zaraz uciekła spojrzeniem. Z bólem przełknęła gorycz życiowej porażki.

— Anna nie może mieć nic przeciwko temu małżeństwu — oświadczył ochrypniętym głosem Jerzy Radziwiłł. Jego ostre słowa pieczętowały nieodwracalność przeznaczenia, na co Anna, nie mogąc powstrzymać łez, uciekła z komnaty, pozostawiając za sobą milczenie. Dwoje dzieci bawiło się dalej, tocząc między sobą kulę i nie rozumiejąc nagłego zniknięcia matki. Zaraz przyszła niania, by zabrać je. Tymczasem Barbara czuła na sobie przenikliwe spojrzenie matki i ojca. Była oszołomiona pomysłem wydania jej za mąż. Przecież ciągle czuła na sobie miękki dotyk dłoni Gaspara i jego gorące wargi na swych ustach.

— Kto będzie moim mężem? — spytała wreszcie.

— Wojewoda nowogrodzki — powiedział Radziwiłł.

— Gasztołd?! — wspomnienie tego nazwiska zburzyło jej spokój. Krótką chwilę zbierała myśli, by zaraz wyrzucić z siebie całą hipokryzję sytuacji. — Dajecie mnie człowiekowi, któremu wcześniej obiecaliście Annę, z którym od lat toczycie wojnę. Nie dalej jak dwa miesiące temu spaliliście mu zamek w Tykocinie.

— Z wyroku króla Gasztołd musi poślubić jedną z was — oświadczył Jerzy Radziwiłł.

Jego słowa były tak stanowcze, że Barbara po raz pierwszy w życiu zadrżała przed własnym ojcem. Ten, który był dla niej gotów przychylić nieba, spełniał wszystkie jej zachcianki, nawet zamysły, teraz okazywał jej swą stanowczość i władzę. Jej los zależał od niego. Zdawało jej się, że z tą chwilą mija jej młodość i beztroska, ona zaś wkracza w dorosłość, z dnia na dzień porzucając mrzonki o szczęśliwym życiu, które sama sobie obierze.

— Sytuacja Anny jest szczególna — zaznaczył hetman. — Żaden z wielmożów litewskich nie chce jej, mimo pokaźnego posagu. Wiedzą, że wraz z nią zabierają jej złą sławę.

— A książę Ilia Ostrogski? — spytała Barbara.

— Został nam już tylko on. Zmuszę go, by poślubił Annę, tak jak obiecał mi to za plecami Gasztołda w Raduni, dziesięć lat temu.

Barbara niebawem wyszła od rodziców. Kiedy zmierzchało, wiedziona przez starego sługę Prokopa, udała się do jednej z wież zamku. Kiedy oboje zatrzymali się przed drzwiami, Barbara rozkazała słudze, by czekał tu na nią. Gdyby zaś długo nie wracała, miał wejść do środka. Radziwiłłówna ufała mu bezgranicznie. Był stary, lecz oczy miał zdrowe, spojrzenie bystre, a ciało smukłe i zwinne jak ryś. Zawsze gotowe do skoku, by bronić jej. Nosił ją na rękach, kiedy się urodziła. Uczył dosiadać konia. Razem z nią przeżywał upadki i cieszył się, kiedy podźwigała się z nich. Kochał ją jak córkę, ale w głębi duszy, skrycie wobec ludzkich oczu, ukazując tylko wiernopoddańcze i ślepe przywiązanie.

Skrzypnęły żelazne drzwi. Jakiś wir powietrza zerwany gwałtownie zgasił pochodnię. Zapanowała ciemność i w tym momencie Barbara znalazła się w wilgotnej komnacie. W powietrzu unosił się zapach zgaszonej świecy i stęchlizny. Dym uchodził gdzieś w przestworzach, ginął, jakby rozpływał się w nicości. Okazało się, że wędruje wysoko, by ujść małym otworem, który wiódł z komnaty na wyższe kondygnacje wieży. Nagle Barbara poczuła na swych ramionach czyjeś palce. Drgnęła przerażona i przeżegnała się. Szpony rozpierzchły się i wnet rozbłysło blade światło świecy, a Radziwiłłówna ujrzała przed sobą twarz starej kobiety. Po chwili usłyszała jej chrapliwy głos przypominający rechot starej, nadętej ropuchy.

— Nie żegnaj się! To odstrasza duchy.

— Gdzie one są?

— Nie widzisz ich — zasyczała wiedźma i zarechotała. — Twoje oczy są ślepe!

Lęk młodej kobiety wprawiał wiedźmę w przekonanie, że włada nią zupełnie, że może uczynić z nią wszystko, co zechce. Jej bojaźń i jej podległość w tej chwili podniecały staruchę.

— Są wszędzie! Tu! I tu! — wiedźma zatoczyła krąg wokół siebie. — Ale — zawahała się, zastygając nagle w bezruchu, jakby nasłuchiwała, jakby słyszała jakieś niesłyszalne dla ucha ludzkiego głosy i wreszcie zaskrzeczała swoim żabim głosem: — twój Bóg i moje bogi kłócą się ze sobą. Jeden z nich musi odejść!

Barbara spojrzała na nią z lękiem. Ta kobieta o pomarszczonej twarzy, o dłoniach wysuszonych do granic życia i śmierci, o białych włosach splątanych niczym pnącza wierzby, napawała ją ponadzmysłowym lękiem.

— Boisz się! — zasyczała wiedźma, przerywając ciszę — Boisz się Boga! Po co tu przyszłaś?! Odejdź!

Radziwiłłówna mimo przerażenia tkwiła na swoim miejscu, wtedy czarownica jednym pociągnięciem ręki zerwała wiszący na jej piersiach krzyż i rzuciwszy go na stół, zakryła go czarną chustą jakby Bogu chciała zamknąć oczy i powiedziała:

— Długo do mnie nie zaglądałaś… Ludzie nie potrafią dzielić się swoim szczęściem z innymi. Przychodzą tylko, by brać.

Jaryła położyła dłonie na ramionach kasztelanki, urzeczona ich miękkością i kształtem. Nagle Barbara uświadomiła sobie, że to te szpony dotykały jej, kiedy weszła do komnaty.

— Po co przyszłaś? — spytała czarownica. — Chcesz bogactwa? Nie. Władzy? I to cię nie pociąga… Chcesz więc miłości, ale tej cielesnej. Nic co wykracza poza granice zmysłowości. To zraniona duma tak boli.

— Wiesz już wszystko — Barbara strzepnęła jej dłonie z ramion.

— Pragniesz zemsty.

— Nie. Chcę tylko, by mnie kochał. On chce odejść do innej! Ja go kocham…

— To tylko złudzenie — rzekła Jaryła rozeźlona tym wyznaniem. Jakby do tego stwierdzenia nie potrzebowała czarów, w tej materii zdawała się na własne doświadczenie. Przeżyła prawie wiek i nawet teraz pragnęła tego słowa, którego samo wspomnienie przywoływało w jej sercu pustkę i wyzwalało tęsknotę za młodością.

— Tego tylko pożądasz.

— Jaryło, znasz się na magii.

— Do miłości nie potrzeba czarów — odparła wiedźma. — Nie liczę lat życia, jakie mam za sobą. Co noc brałam sobie kochanka. Moje ciało domagało się ich jak wody. Nawet teraz śnią mi się po nocach ci, których wysłałam na tamten świat, możni Litwy.

Wiedźma pokuśtykała do wielkiego stołu i sięgnęła po zakurzoną księgę. Przetarła ją rękawem szarej sukni, kurz uniósł się ciężką chmurą nad pawimentem, po czym otworzyła ją i przez chwilę mamrotała coś pod nosem.

— Potrzebuję twojej krwi. Przechodzisz miesięcznicę? — zapytała.

— Nie.

— Więc weźmiemy z innego członka twojego ciała. Jeśli nie z łona, to potrzebuję krwi z miejsca położonego najbliżej serca.

— Ale to będzie boleć — stwierdziła Barbara.

— Czyż nie bardziej boli duma, którą zranił mężczyzna?

— To prawda.

— Daj mi ramię. I nie bój się. Nieraz spuszczano ci krew, kiedy byłaś w gorączce.

Barbara wyciągnęła ramię, starucha przystawiła misę i po chwili nacięła przegub jej dłoni. Krew leniwie spływała po skórze.

Starucha, czując nerwowość Radziwiłłówny, skarciła ją:

— Drżysz jak osika. Lepiej zamknij oczy, abym nie musiała puszczać ci krwi po raz drugi.

Kiedy wiedźma skończyła, podeszła do stołu. Między stosem ksiąg i butelek pełnych przeróżnych specyfików szukała czegoś usilnie i mówiła:

— Mikstura, jaką dostaniesz, będzie pełna czarów, przyrządziłam ją według starej, potajemnej receptury mojej praprababki, ale pamiętaj, że to tylko ma moc, co pochodzi z głębi duszy. Umysł ludzki jest nieograniczony… Gdzieś podział mi się żabi skrzek. Ale idź już. Przyślij później kogoś zaufanego, przed północą. I weź z sobą światło. Wiatr zdmuchnął twoją pochodnię. Wszędzie przeciągi — uskarżała się na swój los. — Nikt już nie pamięta o starej Jaryle. Nawet do odczyniania uroków biorą Birutę. Popamiętam ich niewdzięczność — odgrażała się, grzebiąc między stertą ksiąg, jakby już sama nie pamiętała czego szuka.

Barbara niebawem opuściła wieżę. Na zamkowych korytarzach tliły się pochodnie. Było już późno. Jeszcze tylko jeden korytarz i Radziwiłłówna stanęła przy drzwich swej komnaty. Tu odprawiła Prokopa, przykazując mu, by poszedł przed północą do wiedźmy, a sama przyspieszyła, chcąc jak najszybciej znaleźć się u siebie.

— Barbara…

Nagle poczuła na szyi gorący oddech. Czyjeś ramiona pochwyciły ją z tyłu i uwięziły w mocnym uścisku. Nie widziała jego twarzy, ale doskonale znała ten głos. To był jej stryjeczny brat Mikołaj Czarny.

— Czego chcesz?

— Wydają cię za mąż — szepnął jej do ucha. — Ale jeszcze nie jesteś mężatką.

Wsunął rękę pod jej suknię i penetrując jej ciało, pragnął usłyszeć z jej ust żądzę rozkoszy.

— Jęcz… — szepnął, a kiedy próbowała oswobodzić się z jego uścisku, rzucił rozdrażniony jej oporem: — Jęcz z rozkoszy! I powiedz, kto tej nocy będzie twoim kochankiem?! Bisceglie? A może ten stajenny, który cuchnie końmi?

— Będzie każdy, kto mnie zechce! Kogo pożądam! Z wyjątkiem ciebie! Choćby żebrak!

Głośne kroki spłoszyły Mikołaja, oswobodził kuzynkę z uścisku i zniknął w ciemnościach. Barbara weszła do pokoju. Zerknęła na stojący przy ścianie zegar.

Do północy jeszcze całe dwie godziny. Czy aby stara czarownica zdąży przyrządzić magiczny napój na czas?

Po chwili kasztelanka usiadła przed lustrem. Kiedy weszła młoda służąca o pięknych, migdałowych oczach, Barbara kazała jej, by uczesała jej włosy. W lustrze Radziwiłłówna widziała swoje odbicie: zalotny błysk w spojrzeniu, jakiś ogień namiętności i budzącą się do życia erotykę, która nagle eksplodowała niczym erupcja wulkanu, znienacka. Ten żywioł budził się w jej ciele, był nieujarzmiony, niepohamowany i musiał być spełniony, by pozwolić jej żyć. Zegar wybił jedenastą. Barbara odprawiła służącą, kiedy do drzwi zapukał Prokop. Odebrała od niego szklaną butelkę. Zadowolona nalała wina do kielichów, a do trunku dolała mikstury. Czas mijał coraz szybciej: północ, wpół do pierwszej. Ciągle była sama, ciągle czekała. Przypominała sobie miniony dzień i każdy drobiazg. W jej pamięci tkwił pewien szczegół, który jawił się w jej umyśle jako rzecz tak odległa jak sen:

oto niebawem poślubi mężczyznę. Ciche pukanie wyrwało ją z rozmyślań. Rzuciła się do drzwi, nasłuchiwała przez chwilę i nagle uchyliła drzwi, a widząc Gaspara, pospiesznie wpuściła go do środka.

— Gaspar… — Barbara łapczywie sięgnęła jego ust, gdy naraz jej twarz spochmurniała i Radziwiłłówna rzuciła z pretensją. — Spóźniłeś się! Co mogło cię zatrzymać?

— Daję głowę, że nawet królowej nie pilnują z takim oddaniem — odparł sucho, a widząc jej gniew, wyszarpnął się z jej ramion, lecz ciągle czując na sobie pocałunki, odwrócił się i przywarł do jej ust. Co miało znaczyć jego wyznanie? Że bywał w sypialni królowych? Że należał do innych kobiet? Czy to nie budziło jej zazdrości? Tak, to tylko przeszłość, o którą ona była zazdrosna.

— Gaspar… Jakie to żałosne. Tak strzegą cnoty, której nie mam. Niebawem poślubię człowieka, z którym będę związana węzłem małżeńskim i łożem, choćbym żywiła do niego uczucia najpodlejsze albo tylko obojętność.

— Gasztołd ma trzydzieści lat. Jest w pełni sił.

Gaspar próbował ją pocieszyć, a może wskazać, jakie spotyka ją szczęście.

— Ty wiesz, że nikt mi cię nie zastąpi, Gaspar — oświadczyła.

Patrzyła na jego ciemne włosy, porozrzucane niedbale i spływające do ramion, a jego czarne oczy błyszczały żywym blaskiem. Był piękny. Jego ciało było muskularne, a ramiona i tors jakby wyciosane z marmuru rękami najlepszego artysty. Barbara sięgnęła po wino i podała kielich Gasparowi i już po chwili całowała jego usta.

Noc minęła zbyt szybko dla kochanków. O świcie Bisceglie ubrał się i wymknął się z pokoju tajemnym przejściem. Barbara

została jeszcze w łożu, gdy do komnaty wpadła Agrafienia, donosząc, że Radziwiłł Rudy konno wjechał na dziedziniec. Słysząc to, kasztelanka w pośpiechu ubrała się i wyszła z pokoju. Mikołaj właśnie wbiegał po schodach, kiedy Barbara go dostrzegła. Uniósł głowę i ujrzał ją całą w czerwieni. Taką ją uwielbiał. Nęciła soczystą czerwienią róży. Czuł tę woń, jaką ona roztaczała wokół siebie, ale nie mógł posmakować tego kwiatu. Mógł tylko patrzeć i napawać się dumą, widząc spojrzenia mężczyzn pełne podziwu dla urody jego siostry.

— Nicola! — zawołała szczęśliwa. Radziwiłł pokonał jeszcze parę stopni. Barbara uwiesiła mu się na szyi niczym dziecko.

— Słodka moja. Nie było dnia i nocy, bym nie myślał o tobie.

Barbara przyjęła to wyznanie z wdzięcznością. Mikołaj był starszy od sióstr, jego twarz przy subtelnej urodzie Barbary wydawała się sroga. Burza rdzawych włosów falowała nad wysokim czołem. Z twarzy patrzyły małe, piwne źrenice. Kiedy mówił głosem pełnym łagodności, zdawało się, że należy on do kogoś innego. Mikołaj potrafił mówić do niej czule i śmiać się beztrosko, kiedy był przy niej.

Radziwiłłówna chciała porwać brata do ogrodu, ale Mikołaj oznajmił, że przywiózł suknie z Florencji. Barbara natychmiast chciała je zobaczyć, tak więc Radziwiłł kazał wnieść je do jej pokoi. Zaraz oboje weszli do zamku, gdzie w jednej z komnat zastali Annę. Mikołaj przywitał drugą z sióstr, choć zrobił to chłodno. Po chwili służba wniosła kufer. Mikołaj bez namysłu otworzył wieko. Barbara wyciągnęła z niego suknię, a urzeczona głębią jej czerwieni nie mogła wypowiedzieć słów zachwytu. Spojrzenie jej oczu było dla Mikołaja wyrazem jej radości i zarazem podziękowaniem.

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy. Wesele 7
Rozdział drugi. Zapach kadzidła 50
Rozdział trzeci. Przeznaczenie 89
Rozdział czwarty. Czerwony granat 116
Rozdział piąty. Niech mówią, że to pożądanie 144
Rozdział szósty. Królowa dziewic 181
Rozdział siódmy. Demon i kielich miłości 241
Rozdział ósmy. Ćma 322
Rozdział dziewiąty. Nabożna kurwa 358
Rozdział dziesiąty. Inne niebo 400
Rozdział jedenasty. Kości zostały rzucone 422
Rozdział dwunasty. Ja jestem twoim księżycem 437
Rozdział trzynasty. Konfesata 478
Rozdział czternasty. Królowa na stos 526
Rozdział piętnasty. Pragnienia 544
Rozdział szesnasty. Dzień świętej Łucji 577
Rozdział siedemnasty. Między nocą a dniem 604
Rozdział osiemnasty. Weneckie lustra 614
Rozdział dziewiętnasty. Śmierć w cieniu cisu 670
Rozdział dwudziesty. Święta Barbara 714
Epilog 743